



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Swiat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

DWAJ ANIELI.

W białej izdebce dziewczę cicho spało,
Niewinne, czyste.
Na gładkie czoło księżyc kładł nieśmiało
Wieniec srebrzyste.

A z niebios płyną dwaj bratni anieli,
Nad jej wężglowie,
I przysłuchuje się dziewczyna w bieli,
Dźwięcznej ich mowie.

I szeptał pierwszy sennemu dziewczęciu:
„—Ja ci przynoszę
Upojen błogich w kochanka objęciu
Dziwne rozkosze.

„Krain czarownych odemknę podwoje
I tam powiodę
Kędy się ziszczą najpiękniejsze twoje
Marzenia młode.

„Przezutej w sercu, usłyszysz miłości
Piosnkę tajemną,
W światy promienne, tam gdzie szczęście gości.
Dziewczę, chodź ze mną. —“

A drugi anioł blade lica ehyli,
Nad głową jasną.

„—Chodź, nim wiosenne, w niedalekiej chwili,
Nadzieje zgasną.

„Mogła ciebie ochroni od skażeń,
Od niepowrotnych
Wspomnień przeszłości, od rozwianych marzeń,
Od łez samotnych.

„Nim złudne szczęścia opuszcza cię mary—
W mogiłę ciemną—
Dopóki życia nie dotknęłaś czary,
Dziewczę, chodź zemną.“—

A sennie dziewczę, barwą bladej róży,
Lekko zapłonę
Ku aniołowi, co jej szczęście wróży,
Wyciąga dłońie.

„—O srebrnopióry miłości aniele,
Zabierz mnie z sobą....
Niech się przedwcześnie, duszy mej wesele,
Nie ęmi żałobą.“—

A śmierci anioł rozwinął ponure
Do lotu skrzydła,
I rzekł: „—Przyniesie czas zwątpienia chmurę,
Pierzchną mamidła.

„I gdy twe serce marzenia wiosenne,
We łzach pogrzebie—
Znowu naówczas, lecz sam, dziewczę sennie,
Wrócę do ciebie....“

Tomasz Zawadyński.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Dwór Podkomorzego, który zdawna wszyscy znali, teraz wcale nową przybrał fizyognomię, która nie zupełnie się godziła z tem, co dawnego w nim zostało i nie dało się przerobić. Krzeselka i kanapy były białe ze złotem, a mury staremi szpalerami ciemnymi okryte, i na stropie belki się nie utaiły; niektórych odwiecznych sprzętów nie śmiało wyrzucać—były w oczu swą prostotą. Podłoga poprawiona i zawoskowana, miała defektów wiele; a że gości było dużo, obok złożonych krzesełek i ławy kilimkami pookrywane stały.

Wśród towarzystwa też, a szczególnie pań, różne epoki strojami były reprezentowane. Niektóre suknie sięgały pewnie czasów Jana Kazimierza, inne jak z igły, świeżo przybyły z Paryża. Obok najwykwintniej trefionych i pudrowanych peruczek młodych pań, starsze w ogromnych czepcach, ze wstęgami obfitemi, wydawały się dziwnie. Młodsze pokolenie całe było w rogówkach, starsze w płaskich sukniach, z których się naśmiewano. Lecz nierzadko obok takiej z grubej materyi jedwabnej, prababczynej roby, klejnoty na szyi i na głowie zazdrość budziły wspaniałością swoją.

W ubiorach mężczyzn też sama różnorodność pa-

nowała, poczawszy od kusego stroju, co na kozacki zakrawało, do delii fałdzistej i kontusika z węgierską.

Niemieckim panom, dla których moda była królą, mniejwięcej jednako i jednym krojem postrojonych, ten tłum różnobarwny osobliwie się wydawał. Patrząc na niektórych, ledwie się mogli wstrzymać od śmiechu panice.

Figury też obu narodów całe do siebie podobne nie były. Sasi, choć słusznie dosyć wzrostu — szczupli, płascy, chudzi, chuderlawo wyglądali przy zawisłych, otyłych, zażywnych, szerokotwarskich Podlasiakach.

Między Niemcami język ich własny, szczególnie na dworze i między obcymi, wcale nie był w użytku. Mówili wszyscy po francuzku, boć jeszcze Fryderyk II, język narodowy uważał za niezgodny do wyrażenia delikatnych myśli odcieni.

Pan młody i ci co z nim zjechali, stojący w półśrodki bawialnej sali, zdawali się jakby na pokaz ustawieni, bo wszyscy z kolei przychodzili się im przyglądać. Bawił ich Podkomorzy i kilku młodszych paniczów, co po francuzku umieli; reszta nieufnie i wrogo jakoś trzymała się od nich zdaleka. Wiadomo, że dawne obrzędy dziewięcioletniego wieczora, połączone z oracyami, przemówieniami i t. p. były dosyć uroczyste i nużące. Podkomorzy więc za radą p. Osowieckiej, kuzynki swej, która mu, jako wdowcowi, zastępowała gospodynię, do minimum sprowadził owe ceremonie i, obyczajem wielkiego świata drezdeńskiego, ograniczył je na nie nieznaczających prezentacjach, błogosławieństwie, odbieraniu podarków i t. p.

Mów wcale nie miało być, co niektórym wydawało się niemal świętokradzkiem lekceważeniem.

Obok panny młodej i jej siostry, postrojonych według najświeższej mody, sędzianka Leonilla mogła najpierwsze zająć miejsce, tak ślicznie miała ubiór i tak ołsniewającą królowała pięknnością.

Zaledwie weszła i spostrzeżono ją, cudzoziemcy się poruszili, nie tając admiracji, i dowiedziawszy się, że panna po francuzku doskonale mówi, otoczyli ją kołem. Młode dziewczę miało tyle śmiałości wrodzonej, iż się tem wcale nie zmieszalo. Ci, którzy pragnęli bliższą zrobić znajomość z sędzianką, zostali zmuszeni poznać się też z ojcem i matką.

Jejność małeńka, choć oddawna się przysłuchiwała szwargotaniu z córką p. St. Aubin, do francuszczyzny przyjść nie mogła. Rozumiała ją trochę, a gdy odpowiadać przyszło, uśmiechała się dzieciennie.

Sędzia Czemyński zamłodu w łacinie ćwiczony, po francuzku się też nie uczył nigdy, lecz był to człowiek zdolny a nadewszystko śmiały. Zdała mu się, że z ojcem łąciną, będąc w tak bliskich stosunkach, z synem jego rodzonym, francuszczyzną, łatwo przyjdzie do konfidencji. Z panią St. Aubin więc naprzód puszczać się zaczął w fantazyjną francuszczyzną łąciną, a że mu to szło jakoś, nabył tego przekonania, iż mówi po francuzku *expedite*.

W potrzebie prawil czasami takie rzeczy, że córce i bonie włosy na głowie powstawały, lecz żadna siła ludzka przekonać go nie mogła, że się mylił.

Skłonniejszym był do przypuszczenia, że Francuzka, nieobeznana z łaciną, ducha własnego języka nie znała.

Mając na celu serdeczne poznanie się ze Szwabami, Czemyński zaraz się im przez Podkomorzego kazał zaprezentować i, z elokwencyą sobie właściwą, począł im prawie androny.

Lecz — był ojcem tak ślicznej córki, że się tylko za boka śmiano; nabierał więc coraz większej śmiałości i od ucha rznął co na myśl przyszło. Prawil głośno, a szlachta, zdala stojąca, podziwiała jego zdolności poliglotyczne.

— Ten Czemyński, powiadam wam, szeptał Sopoiko, chyba już i po tureku umie. Słyszycie jak rźnie z Niemcami, ani się zajaknie.

— Wielka sztuka — odparł Woroszyłło, spytaj ile lat bonę trzymają do córki. Skorzystał z jej lekcyi.

Wieczera z pyramidami, cyfram, z kwieciem posypanemi obrusami, nakryta była w sali przybudowanej i jednym ze starych pokoi. Główny stół zastawiony był w podkowę i miał przy sobie

pomieścić niewiasty, Niemców i dostojniejszych gości. Podkomorzy sam i kuzyn jego wice-gospodarz, p. Floryan, którego zwano Krzywoustym, bo miał w istocie wargę z jednej strony nieforemną, rozsadzali łaskawych przyjaciół.

Dla Czemyńskiego i Strukczaszyca, którzy się dotąd jakoś nie zetknęli, nastąpiła chwila niebezpieczna. Sędzia raz się uczepiwszy grafy i jego kuzynów, mocno się ich trzymał. Kierował też swą nawał tak, aby przy nich być umieszczonym, bo go to od Strukczaszyca zabezpieczało, który do Sasów się zbliżać nie miał ochoty.

W istocie, Hojsey, stary i młody, po przywitaniu się z gospodarzem, p. Blandynę umieściwszy pod opieką dawno jej znanej pani Osowieckiej, weszli w ów tłum gęsty, znaleźli starych druhów i na uboczu się trzymali.

Erazm, wystrojony pięknie i świeżo, choć nie modnie, wszystkich panien ściągnął oczy, tak był urodziwy, zręczny i postawny. Coś szlachetnego, rycerskiego biło z jego oczów i czoła.

Panny, które go nie znały, dopytywały jedne drugich: co to za jegomość, z kąd i jak się zowie?

Jejmości się też interesowały nim, i mężczyźni nawet chwaliли piękne młodzieńca.

— Żeby-to, mosanie, po husarsku go ubrać, tygrysią skórę mu przez plecy przetrzucić. Na konia go wsadzić — klękajcie narody, co za wojak — choć malować! — wołał Sopoiko.

Panna Leonilla, chociaż na pierwszym wstępie otoczono ją hołdami, choć Niemcy jej nie odstępowały, choć mogła tym swoim tryumfem być dumna i zaspokojoną — przez dziwną jakąś fantazyę niepojętą, ledwie wszedłszy na salę, poczęła zaraz oczkami szukać tego nieznosnego — wroga. A trafiło się tak, że p. Erazm rozmawiając z młodym Jagminem, stał, gdyby na okaz, ręka w bok, głowa do góry, wąsik podkręcony, z uśmiechem na ustach, jak młody dębeczak giętki a krzepki: miło nań było popatrzeć.

Nienawidziła go panna sędzianka; miała jeszcze świeżą urazę, że ją podpatrzył ugrzęzłą na błocie: jednak spojrzawszy nań, w myśli porównawszy go z Niemcami, nie mogła się wstrzymać od wniosku, że był w istocie — chłopak śliczny.

Traf chciał, że w tejsze chwili p. Erazm się jakoś odwrócił, i te dwa wzroki, które się nigdy spotykać nie były powinny ani chciały, zeszyły się, starły.

Pannie na twarzyczkę wystąpił rumieniec; Erazmowi dreszcze przeszły po skórze i rzekł w duchu: — A! jakaż bestyja piękna!

Tę „bestyję“ dodał już dla osłabienia wyznania, które uczynił.

Panna Leonilla miała ten zwyczaj niedobry, że się nie dawała spłoszyć i nie ustępowała nikomu.

Więc, choć była powinna cofnąć się z wejrzeniem, na złość śmiałkowi, który się ważył patrzeć na nią, nie odwróciła oczów, poczęła mu się przypatrywać zuchwale.

Erazm też nie miał najmniejszego powodu tchórzyc i uciekać: dostał śmiało tym oczom zabójczym. Zrobiło mu się tylko jakoś osobliwie, jakby w istocie postrzał otrzymał. Dreszcze zastąpiło gorąco, serce uderzyło mocno, piersi się poruszyły oddechem żywszym.

— A! jakaż bestyja piękna! — powtórzył. Tym razem była już panna sędzianka nie „bestyja“, ale „bestyjką“, co znacznie modyfikowało wyrażenie.

Panna Leonilla patrzyła na upartego, wyzywającego, jakby chciała mu powiedzieć:

— Widzisz aspan, że sobie z tego żartuje, i żeś mnie widział siedzącą w błocie. Nic mi nie jest.

Erazm zdawał się mówić oczyma: — Nie mam do waćpanny żadnej pretensyi za ojca. Nie gniewaj się na mnie.

Gdy naostatek panna, widząc, że nie zmusi kawalera do odwrotu, wejrzenie ku Niemcom skierowała, zostało jej wrażenie to, że p. Erazm chyba był bardzo chytrym człowiekiem, bo udawał niewiniątka.

W dziesięć minut potem wcale niepotrzebnie czyniła p. Leonilla po dzieciennemu próbę. Chciała się przekonać: czy ten zuchwalec na nią patrzy, strzeliła w bok — osobliwsza rzecz, spotkała jego oczy chciwie skierowane ku sobie, i conajprędzej

pierzchnęła, spuszczać wzrok na rogówkę, na której poprawiać zaczęła fontazie.

I na tem się przed wieczorem skończyło.

Strukczaszyca posadzono tak misternie, po tej samej stronie stołu co sędziego, zasłoniwszy Czemyńskiego ogromnym brzuchem p. Wisłoucha, iż ani się widzieć, ani o sobie wiedzieć nie mogli. Pan Erazm z młodeymi zasiadł w drugim pokoju. Lecz, co komu przeznaczono na utrapienie, to go nigdy nie minie. Przeze drzwi na prost niego siedziła z p. St. Aubin p. Leonilla, i nie mógł głowy podnieść, żeby jej twarzyczki i loków upudrowanych nie widzieć.

Zupełnie go to paraliżowało i odejmowało mu swobodę. Panna miała naprzeciwko siebie niemieckiego barona Fischhausena, który ją zabawiał, mimo to kiedyniekiedy główkę odwróciwszy, spotykała oczy p. Erazma, ale już się ich widzieć nie zdawała.

Uposiadła się tylko tak szyjkę wyginać, tak tą ufryzowaną główką potrząsać, tak się uśmiechać, wdzięczyć, dzieciennie zabawnie, puszyć i trzepotać jak ptaszek, — że p. Erazm się nauczył jej fizyognomii ze wszystkimi odcieniami. Laleczka ta go bawiła. Nie spuszczał z niej później oka, przekonał się, że ona tego nie widzi. A — czy nie widziała? trudno zapewnić, bo wszyscy z doświadczenia wiedzą, że kobiety widzą niepatrząc, widzą w bok, poza sobą, po nad sobą, i o czterdzieści mil, gdy się uprą.

Panu Erazmowi, mniej mającemu doświadczenia w tych przedmiotach, było to dotąd niewiadomem.

Przy wieczery, ponieważ Sasi nie wymawiali się od kieliszków, zaczęto pić mocno. Zrobiło się gwarno, Niemcy między sobą zaczęli paplać po niemiecku, inni mówili po francuzku, drudzy po polsku, po łacinie i z chłopską po rusińsku niektórzy: jak na wieży Babel pomieszwały się języki.

Jeden Strukczaszyca, choć pił, z obyczajem swojego mileżącego nie wychodził, odpowiadał zaczepiany, lecz krótko i zimno. Nie widział on nieprzyjaciela ale go czuł gdzieś, drgał chwilami, burzyło się w nim wszystko, — siedzieli u jednego stołu. Czemyński zaś zajęty Szwabami i własną francuszczyzną, którą wino czyniło coraz cięższą, zapomniał o wrogu.

Przewrotni Niemcy wyzywali go umyślnie na takie frazesy, że boki po nich zrywali. Lecz śmiech szedł na inny rachunek: Czemyński ani mógł przypuścić, ażeby kto ważył śmiać się z niego.

Mieszał już teraz do łamanej francuszczyzny, nietylko łacinę, ale wyrazy domowej fabrykacyi dając im zakończenia gallikańskie, i rad był z siebie.

W końcu przecież gwar się stał tak ogólnym, po wypitych kilku zdrowiach, że niewiele go słyszano. Wieczera zakończyła się przedzej, niżby obywatela, którzy rozpozczęli toasty, życzyli sobie, — sala bowiem potrzebna była do tańców, i pan Floryan szeptał pociechu, że *pocula* czekają w osobnej izbie, gdzie do białego dnia nie będzie przeszkody żadnej.

Ruszono się od stołu i tu jeszcze złożyło się szczęśliwie tak, że Strukczaszyca pierwszy się wydobył i wyszedł, a Czemyński, barona pod rękę ujawszy, przystąpił.

Nie spotkali się więc i nie wzięli na oko.

Pan Erazm, uwolniony od nużącego przypatrywania się sędziance, wyniósł się także z młodzieżą. Salę musiano conajprędzej opróżnić dla tańców. Ostatni goście wychodzili z niej, gdy stoły już runęły, i muzyka sprowadzona od Dominikanów z Brześcia, wzmocniona przez kilku amatorów, już się do grania stroiła. Tańce, według prawideł, nawet na dworze saskim już przyjętych, zaczynać się miały od polskiego odbijanego, który po wszystkich salach i izbach domu musiał odbyć pielgrzymkę.

Do pierwszych par szykowali się codostojniejsi z paniami starszemi; dalsze już pary kleiły się jak Bóg dał. Brał każdy kogo mu się podobało. Strukczaszyca nie chodził w żaden taniec, gdy nie był zmuszonym; cofał się więc do izby, w której pito, choć do wina ochoty nie miał.

Pan Erazm byłby może został także prostym spektatorem, gdyby niespodzianie pani Rzarzewska, dawna matki jego przyjaciółka, poważna osoba, nie przystąpiła doń, nie zagadała i nie powiedziała mu otwarcie:

— A no, weż-że mnie do tańca, to choć pogadamy.

Odmówić nie było sposobu, a nawet i racyi. Muzyka już zaczynała, i ojciec panny młodej występował z księżną Gedroiciową, gdy p. Erazm znalazł się z panią Rejentową Rzązewską w szeregu. Na myśl mu nie przyszło, że w odbijanem może się trafić niespodzianka. Szli tedy po pokojach spokojnie, a wspomnienia matki usposobiły Erazma smutnie, gdy poczuli się mężczyźni mieniać i p. Erazm, pocałowawszy w rękę p. Rzązewską, znalazł się przy p. Woroszyłowej. Nic mu to nie szkodziło. Tylkoco rozmowę zaczęli, już ktoś odbił. syn Strukezaszycy znalazł się przy pannie Piotrowskiej, której weale nie znał. Panna była wesółą i figlarną jak myszka; więc choć niby nieznaną i bez żadnego powodu poczęła się uśmiechać do narzuconego jej przez los tancerza. Była bowiem tego wieczora w nadzwyczaj wesółym humorze, z powodu, że ojciec jej na festyn pierwszą kupił rogówkę. Pyszniła się w niej ładna panienska, której-by może bez tej rogówki jeszcze piękniej było, i od uśmiechu przyszłoby wreszcie do rozmowy z Erazmem, gdyby na przedzie, po kieliszkach nie napadła ichmościów fantazyja odbijania co chwila. Ledwie się pan Erazm zaczynał oswajać z panną Piotrowską, gdy — paf — już go ktoś przy niej zastąpił, i w miejscu jej dostała mu się pani Horbaczewska, niemłoda jejmość, odrobinę garbata, ale wesółą i dowcipną.

Z tą się natychmiast rozpoczęła rozmowa o wyśmienitej zabawie i wesółem towarzystwie, o Niemcach, których jejmość zabierała się wyśmiewać, a Erazm dopomagać był gotów, aż — znowu odbito.

Cofnął się Hojski, niepatrząc zrazu kogo mu los nadarzył i podając rękę następnej tancerce, gdy postrzegł, że mu ją nagłe wychwycono.

Podniósł głowę zdumiony i zobaczył przed sobą w całym majestacie wdzięku, dumy, młodości p. sędziankę Leonillę. Los się spisał — jak to on czasem umie.

Panna, chcąc okazać nieprzyjacielowi domu, że się mu nawet końca swych paluszków dotknąć nie da, rękę podniosła wysoko, a minę nastroiła królowej. Brwi się jej słizne namarszczyły okrutnie, usteczka wydeły, niebieskie oczy chciały być straszliwie groźnemi; ale taka była piękna, że się jej p. Erazm nic a nie nie uląkł. Owszem śmiało patrzył i oddychał przedziwną wonią pudru, która z jej fryzury się rozchodziła. Nie zapłacił jej za grzybę i zmarszczenie równą monetą, lecz spokojnie a z rodzajem zdumienia, korzystając ze zbliżenia się, zuchwale pozerzał ją oczyma. We wzroku nie złowrogiego nie było. Panna już nie wiedziała co zrobić z sobą, gdy szczęściem dla niej, znowu odbito i p. Erazm znalazł się przy p. St. Aubin.

Tu musimy dla zrozumienia tego, co zaszło, objaśnić czytelnika, że szczególnym trafem p. Erazm Hojski, prawie się, nieuczając tego języka — bo go w szkołach jezuickich ówczesnych na programacie nie było, a ojciec z niego modnego kawalera robić nie chciał — wybornie mówił po francuzku. Staruszek ojciec Rodryg Renard, jezuita, który po łacinie wykładał łacinę, polubił chłopaka dla miłej jego powierzchowności i żywego umysłu, ciągle go do siebie wabił, zajmował się nim i prawie go zmusił do mówienia z sobą po francuzku, a potem do czytania. Jemu więc winien był p. Erazm, że ten modny język weale mu nie był obcym. Nie ręczylibyśmy, że pisał nim ortograficznie, ale mówił łatwo i wybornie.

Pani St. Aubin, ładnego wroga tego zobaczywszy przy sobie, zrobiła minę pogardliwą wielkiej pani, wachlarzem na pół osłoniła twarz i odezwała się pół-głosem, nie sądząc, żeby zrozumianą być mogła.

— O! destin, en voilà des tes coups!

Śmiały Hojski, pokręcił węża, nie miał żadnej potrzeby zbytniego ceremonowania się z panią bonną, i odparł doskonałą francuszczyzną:

— Prawda, że los sobie czasem dziwne wyprawia igraszki z nami, — *mais à la guerre comme à la guerre!*

Francuzica ledwie uszom wierzyć chciała; wachlarz jej odpadł od podbródka, na którym puszczał się samopas włosy, zasłaniać miał posłannictwo. Obróciła się do p. Erazma i zawołała:

— Al pan mówisz po francuzku! Zdumienie by-

ło nieco obrażające — ale Hojski na nie odpowiedział uśmiechem i skinieniem głowy. Francuzce, której się wydawał zawsze bardzo pięknym mężczyzną, teraz się jeszcze zdał przystojniejszym.

— Byłeś pan w Paryżu? — zapytała naiwnie.

— Dotąd nie — rzekł Erazm, chociaż ciekawym-bym był go zobaczyć.

— Spodziewam się — *Vous n'êtes pas degouté!* a ja chciałabym do niego powrócić.

— Pani już dawno bawi w naszym kraju?

— Nie liczę lat, ale mi się wiekami wydały.

— To niepochlebnie dla nas, a szczególnie dla domu, w którym pani zostaje.

Pochwycono tak Francuzka, zagryzła usta, zerknęła ku przodem idącej pannie, czy jej nie usłyszała, i odpowiedziała z innej beczki.

— *A propos*: pan wszak jesteś synem naszego najbliższego sąsiada? Dlaczego się panowie zabijacie i kłócicie?

— Ja, nie — odparł Erazm.

— A ojciec pański?

— To do mnie nie należy.

— To-bo okrutnie rzecz nudna, taka zwada sąsiadka?

— Nie przeczę.

— I pan-byś jej zaniechał?

— Pani — ja zależę od ojca, a to, co on czyni, do mojego sądu nie należy.

Francuzka spojrzała uważnie, i dała znak głową, że go zrozumiała. W tem nareszcie odbito, i pan Erazm przeszedł pod panowanie pani Wisniewskiej, młodej, pięknej, zalotnej, strojnej mężateczki, która mu na powitanie perłowe zębki pokazała.

Musiny tu dodać, że całą rozmowę p. Erazma z p. St. Aubin, p. Leonilla doskonale podsłuchiwała, chociaż ani główki nie zwróciła, ani dała poznać po sobie, że jej słucha. Francuszczyzna i ją dziwiła niezmiernie. Pilno jej było zaraz po skończeniu polskiego tańca zbliżyć się do St. Aubin i pomówić z nią — o tym zuchwalecu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wspomnienie o Grotgerze.

W końcu przeszłego roku wyszła w Wiedniu niewielka książka p. t.: *Arthur Grotger, Eine Reminiscenz von F. M. Aren* (Rossner, 1878 r., wraz z portretem *aqua-forta* i podpisem własnopiśmiennym). Na 111 jej stronnicach nie znajdzie czytelnik tego, czego się może spodziewał; zawsze jednak, z uwagi, że nie godzi się odrzucać żadnego szczegółu do życia wielkiego człowieka, a zwłaszcza postaci, która tak jasno zabłysła i tak prędko zagasła jak twórca *Padoua tez*, pragniemy zaznaczyć ciekawych z treścią książki.

Powód do mówienia o niej mamy tem jeszcze, nie śmiemy powiedzieć, większy, ale niewątpliwie żywszy, — że autorką jest kobieta, która kochała wielkiego poetę-rysownika, i sama n obojętność jego uskarżała się nie mogła. Kraj Jagiellonów był krajem jej ojców; ona sama wyraźnie Polką się nazywa, polskie nosi nazwisko, „ale wychowana na ziemi niemieckiej, w duchu niemieckim,“ w niemiecką też mowę wspomnienia swe przyoblekła. Może F. M. Aren nie czuła się na siłach do należytego władania językiem polskim; a może też, ogłaszając zwierzenie swoje w szlachetnej Germanów mowie, chciała rozpowszechnić wiadomość o wielkim pięknotwórcy naszym pomiędzy cudzoziemcami, mowy naszej nie rozumiejącymi — lecz, jak na takie przeznaczenie swoje, książka jest zbyt uboga w rysy ogólne charakteru Grotgera i jego sztuki. Autorka, mówiąc o artyście, przypuszcza wszędzie w czytelniku znajomość uprzednią jego dzieł wszystkich, jego talentu, rodzaju jego natchnienia, całej jego duszy artystycznej. Głównym przedmiotem książki, jest epizod miłości — a ten tak znowu gwałtownie przeniknięcia do wiedzy uniwersalnej nie dopominał się.

Nie pytamy już: dlaczego autorka opowiadając miłość swą dla Grotgera, pośrednio daje nam spo-

wieź z własnego życia, z tych dziejów, które człowiek żywy na jedyną swoją niepodzielną i niezbywalną własność posiada i rzadko kiedy w grób ich ze sobą nie zabiera? Przyczyniliśmy się już aż nadto, w naszym wieku życia na parze, do podobnych zwierzeń, w których żywi, przyjmując rolę umarłych, chcą być już za życia widzianymi ze strony, na głos śmierci tylko odsłaniającej się. Nie powinniśmy zresztą mieć skrupułów, których nie miała sama autorka. Jej rzeczą było kochać: jej rzeczą jest miłość tę wyznać przed światem. Przytem miłość dla osobistości należących do historii — miłość nieprzysypała popiołem wzgardy lub obojętności — zbyt wielki posiada powab, aby się pokusie wyznania jej przed światem oprzeci być można. Niejedną kobietę już przewiozł Charon na drugi brzeg Styxu w orszaku wielkiego człowieka, który prawo swoje do nieśmiertelności i na klientów i na *familię* swoją rozposciera. W ten sposób wiele już *X-ów* kobiecych do Elyseum się dostało... Może i w obecnym wypadku — może.... Ale do rzeczy.

Szesnaścieletnie dziewczę, podczas ważnych metamorfoz kotyliona, poznało Grotgera na balu w Wiedniu, w Lutym 1862 r. Przedstawił go jakiś hr. Zdenko. Nic jeszcze nie słyszała wtedy o Grotgerze; nie był on jeszcze sławnym. Originalny wyraz oblicza żywo zajął młodą kobietę. Powierzchność, przy czarnym stroju, przy powadze i smutku twarzy, sprawiła w pierwszej chwili wrażenie przestachu; ale uczucie dodatnie odrazu rozgościło się w sercu, gdzie później na tak długo zamieszkać miało. Do wrażenia, jakie sprawił człowiek, przyłączyła się myśl, że człowiek ten jest artystą. W sercu jej odezwał się mimowolny wyrzut sumienia, że on jest smutny a ona wesółą; pierwszy i doskonały symptomat miłości. Artysta wytłmaczył jej, że jako wchodząca dopiero w świat, ma zupełne do weselości prawo, i przyprowadził jej na tancerza brata swego, Ludwika, z którym razem na balu się znajdował. Artur nie był pięknym, właściwie nawet był brzydki (*hässlich* wydaje się tu zbyt silnem). Wykształcona na *Podróży do Włoch* Goethego, w obliczu Grotgera piękna dostrzedz nie mogła. Miał on nadzwyczaj wysokie czoło, wydłużony nos, cienkie wargi, przenikliwe oczy, z powiekami silnie zwieszającymi się. Było w nim jednak coś niezwykłego, co niepospolite wzbudzało zajęcie, nieupajając przecież bynajmniej.

Grotger, *zainteresowany* młodą kobietą, wyjednał sobie pozwolenie odwiedzenia jej w domu rodziców. Bawiąc się wachlarzem jej, powiedział: „Chciałbym, aby obraz, który mam teraz przed sobą, był zawsze tak wesółym i promiennym młodością. Ta nitka jedwabiu, którą wyciągam, będzie się zawsze świeciła tak, jak się świeci; ale czy i te oczy nigdy blasku swego nie utracą?“ I zażądał żywej róży z bukietu. Otrzymał kwiat sztuczny z illuzyi stroju. Gdy później schodzili, opuszczając bal, hrabia prowadzący damę, otrzymał liść bluszczu — Grotgerowi dostała się jako kompensata — cała gałązka. Niema wątpliwości: panna była zajęta.

Matka panny — przykrą jest dla poważniejszego czytelnika, zbyt surowość autorki w odmalowywaniu niezbyt pochlebnego obrazu rodzicielki — matka panny, cudzoziemka z rodu, nie lubiła malarzy, a natomiast wielką cześć miała dla baronów, hrabiów i bankierów; zastawszy więc bilet wizytowy Grotgera, zawołała: „Bazgraczy dość jest na świecie.“

* * *

Grotger, zanim otrzymał zaproszenie, które skutkiem wstępu mamy, mogło go być ominąć, znalazł się w domu panny — w codziennym swym stroju i z ulubionym wielkim chartem. Przypadek zrzucił, że nie mógł się od odwiedzin wymówić. Zawiązała się rozmowa o sztuce, z powodu studiów profesora Blassa. Artysta mówił:

„Nigdy nie byłem silnym w kolorycie. Blass, u którego się uczyłem, nigdy w kolorytu mego zadowolonym nie był. Pewnego dnia, kiedy się nie dowierzenia namęczył i spodziewał jaknajwiększej pochwały, staje Blass przed memi stalugami

mówi, że obraz, który malowałem, wygląda jak podeszwa u jego buta. Wyznać winienem, że od tej chwili daleko chętniej brałem do ręki ołówki niż pendzel.“

Panna, zamiłowana w sztuce i rysująca już pejzaży i główki, musiała jakąś rozpoczętą pracę swoją, dla okazania jej artysty, przynieść. Uśmiechnął się Grotger z dobrocią geniuszu na widok jakiejś niedołężnie wykonanej głowy; bez ogródki powiedział, że tak się nie rysuje, że z rysunku tego trudno jeszcze sądzić o talencie—i ostatecznie ofiarował się na nauczyciela.

Chart Grotgera ułatwił się bardzo prędko ze śniadaniem przygotowanym w drugim pokoju. Trzeba było nowe zarządzić. Starsze panie wyszły, młodsi pozostali sami. Panna zaczęła opowiadać artystcie wspomnienia z pobytu na pensyi w Altonie. Ilustracyą do tego opowiadania było pierwsze album dziewczęcia z podobiznami koleżanek, pomiędzy którymi rolę wybranej odgrywała niejaka „Miethe“. Zjawili się na stole nawet i listy tej ostatniej. Grotger wyprosił sobie listy i podobizny mówiąc:

„— Przejrzę je w domu—i orzeźwię się przy nich. Ze wszystkiego czegoś nauczyć się można; a właśnie to rzecz jedyna w swoim rodzaju—skarb prawie niedostępny dla młodego człowieka.“

Przy herbacie głównego przedmiotu do rozmowy dostarczyły Niemcy północne, Hamburg, ze swoimi milionerami i zbytkiem, milionerowie ze swoją umysłową i moralną ciasnotą i małością, odbijający od klas średnich, w których i wiele poeziwości i wiele wyższych dążeń, między innymi zamiłowania szczerego pięknotworów, napotkać można.

Tu znowu mamy do zanotowania następujące słowo Grotgera:

„— Artysta niezawsze w rozmowie oddawać lubi pierwszeństwo swojej sztuce przed innymi rzeczami. Sztukę ma się dla siebie i uprawia się ją w cisłości; w życiu zaś jest się człowiekiem na równi z innymi ludźmi—i wszelki przedmiot może być dla nas pożytecznym.“

Zapytany: jak przepędza wieczory? — Grotger odpowiedział:

„— Zdała od świata, szczególnie ostatnimi czasami—po większej części w domu, w towarzystwie ołówka i papieru. Niedawno zaimprovizowałem kilka kart gorącym uczuciem przejętych; wykonałem je dla ulżenia własnemu sercu. Są to rysunki węglem. Wkrótce może coś więcej będę mógł o nich powiedzieć.“

Zaleciwszy pannie obejrzenie zbioru rysunków w pałacu arcyksięcia Alberta, Grotger zapowiedział wkrótce odwiedzić swoje dla umówienia się o lekcye i pożegnał towarzystwo. Artysta sam bardzo pilnie zbiór arcyksiężęcy studiował.

Panna nie dała sobie dwa razy mówić i pierwszego czwartku była już w galerji.

* * *

Nadszedł marzec. Pewnego wieczora we wtorek przybył Grotger dla pytania się: Czy może przyjść w piątek na lekcję rysunku? Naukę chciałby zacząć od sportretowania uczennicy: sądził, że w ten sposób najlepiej się jej — tajemnice sztuki objawia. Widać z tego, że mu już wtedy o objaw innych zupełnie tajemnie chodziło. Dla panny było to wielkie szczęście. Grotger z powodu licznych towarzystwa, jakie się zebrało, mając na sobie zwykły kostium, a przy sobie ulubionego psa, nie chciał dłużej zostać. Przyniósł był Mickiewicza i Malczeskiego, odchodząc zabierał znowu list „Miethe“. Gdy, pożegnawszy Grotgera, panna wróciła do salonu przepelnionego gośćmi, salon wydał się jej zupełnie pustym. Patrzyła na wszystko jak na hec.

We czwartek, przeczytawszy *Grażynę*, *Wallenroda* i *Maryę* w ciągu dwóch dni, zasypiało dziewczę z myślą o jutrzejszym nauczycielu swoim. Ale owo marzone jutro miało jej przynieść srogi zawód.

Kiedy otworzyła oczy, stała przed nią matka; trzymała w ręku coś potwornie niezgrabnego, brzydkiego, wstrętnego, co listem od Grotgera nazywała. Rzeczywiście podpisany był na tem „Artur

Grotger“. „Nie—to być nie może,—powiedziało sobie dziewczę—to nie jego pismo“. Ale ostatecznie list przeczytać musiała. Był krótki i opiewał, że nagły wyjazd nie pozwala jutro przybyć na umówioną *séance*; niezgrabnie przypięte frazesy grzeźności uzupełniały całość. Mama wyszła, a panna pozostała sama z myślami swemi. Korciło ją to, żeby Grotger miał tak brzydco pisać.

Popołudniu w piątek przyniesiono z poczty rzeczywiste już pismo jego ręki — jakże piękne, szlachetne! List był gruby, rekomendowany, wewnątrz fotografie—a na tem wszystkim adres matki. Panna nie umiała uszanować pewnych względów delikatności i, oddając list matce, dorzuciła ostre słowo: „Oto prawdziwy list Grotgera“. W liście był bilecik i do panny:

„Człowiek zamyśla. Bóg rozporządza: proste „lecz prawdziwe wyrazy. Familijne sprawy powoływają mnie do Warszawy. Muszę czempredzejjechać i tyle mam jeszcze na głowie, że niepodobna mi jest przyjść. Posiedzenia nasze muszą więc być zaniechane. Bardzo być może, iż „nieprędko wrócę. Najserdeczniejsze dzięki za „wszystko com dobrego doznał. Całuję drogę rączki—a żeśmy młodzi jeszcze: do widzenia!“

„Fotografie przyłączam“

„Artur Grotger“

Panna czytała—czytała i wyczytała ostatecznie to tylko—że piątek był dniem nieszczęśliwym.

Zjawisko ukazało się na chwilę i zniknęło może na wieczność cała.

Raz w gazecie *Fremdenblatt* natrafiła córka przezornej mamy na obszerną dwulfamową recenzję o najnowszym wówczas szeregu rysunków Grotgera, tym samym, o którym wspomniał był w powyższej rozmowie. „Artur Grotger — pisał recenzent — na polu sztuki wykonał coś, co geniusz tylko mógł tak wykonać, geniuszowi tylko rzecz taka udać się mogła.“

Potem już niepodobna było utrzymać rozentuzymowanego dziewczęcia w czterech ścianach. Nadaremnie zatrzymywali ją dziadkowie: musiała wyostać się w przestwór pomimo deszczu. Nieznając dobrze Wiednia zbłądziła—a przypadek błędowi temu bardzo miłą nadał formę. Weszła w ulicę „Mittersteig“ (Mittersteg), na której mieszkał Grotger, spojrzała nawet na dom opatrzony tym samym numerem, który wypisany był na owym liście rekomendowanym — N. 19 — i jakgdyby się lękała swej śmiałości, kryjąc głęboko twarz pod parasolem—szła z pośpiechem.

Nagle na samym końcu ulicy ujrzała przechodzącego Grotgera, zatopionego w myślach, w rękach trzymającego papier zwinięty w trąbkę; ulubionego charta przy nim nie było. Artysta nie szedł do domu, gdyż minął ulicę—o dwadzieścia zaledwie kroków od siebie zostawiając drżącą z obawy i szczęścia dziewczynę.

Zatem był w Wiedniu: żadne ważne sprawy rodzinne nie powoływały go do Warszawy. Wszystko było zmyśleniem ułożonym przez matkę, do zapobieżenia miłości, której kobieta rządząca się zasadą iż „bazgraczy dość jest na świecie“, nie rada była widzieć zaprzysięzoną u ołtarza. Można sobie wyobrazić jaki bolesny stosunek wyrobił się ztąd między matką i córką. Życie aż nadto często przynosi nam wypadki podobne.

(Dokończenie nastąpi)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 22 Stycznia 1878 r.

Smutny początek roku. — Epoka klimateryczna znakomitości. — Śmierć malarza Courbet'a. — Szczegóły i wspomnienia. — Slabości artysty. — Polityka i sztuka. — Proudhon i jego sąd o Courbet'e. — Stanowisko jego we francuskiej szkole malarstwa. — Śmierć generała Alf. de la Marmora. — Jego udział w oswojodzeniu Włoch. — Szczegóły z życia. — Jego zatargi z kanclerzem niemieckim. — Jego książka o rokownicach ks. Bismarcka z Włochami przed wojną 1870 — 71. — Franciszek Raspail. — Jego życie, działania i śmierć. — Śmierć hrabiego Palikao. — Ciekawe szczegóły. — Wyprawa do Chin. — Wzięcie pałacu w Pekinie. — Różnice ofiarowane cesarzowej francuskiej. — Żyjące perły. — Kula

w gardle i mównica w Izbie poselskiej. — Jego książka o dwudziestoceterodniowym ministerium. — Śmierć króla włoskiego. — Xawery Aubryet i jego nowe książki: *Chez nous et chez nos Voisins* i *Les bas bleus*. — Korrespondencye Sainte-Beuve'a; tom I-szy. Nowa książka Alfonsa Karra: *Notatki z podróży Dalmatora*. — Zabawne szczegóły.

Rozpoczęliśmy rok nowy pod wpływem tak ważnych i ciężkich strat, jakie poniósł szereg romański w najświetniejszych swych przedstawicielach, że można go sprawiedliwie uważać za epokę klimateryczną. W przeciągu pierwszego tygodnia nowego roku śmierć, jakby sprawiając sobie sama podarki, wybrała najznakomitsze imiona pomiędzy ludźmi.

Szereg tych ofiar rozpoczął się, stosownie do wymyślnej etykiety świata, w wigilią nowego roku śmiercią Gustawa Courbet'a. Człowiek ten, któremu jego artystyczna sława i niezaprzeczane oddawne powodzenie, powinny być dostatecznie wystarczyc do zaspokojenia miłości własnej i dumy, i który, aby się więcej jeszcze wywyższył nad drugich, nie miał wcale potrzeby wdzierać się, dość niezgrabnie zresztą, na pole politycznych zatargów, zmarł d. 31 Grudnia 1877 r. o godzinie piątej zrana w Szwajcaryi, niedaleko od miasta *Vevey*, w okolicy nazwanej *La Tour de Peilz*.

Rodził się on w Ornans (departamencie du Doubs) d. 10 Czerwca 1819 r.; żył więc lat 58. Rozpoczął nauki w seminaryum, a skończył w szkole w Besançon. Nauki te ograniczyły się do początkowych jedynie zasad, bo młody Courbet, nieczując wielkiego pociągu do książki lub pióra, marzył już o malarstwie i sztuce. Ale ta natura, trochę góralaska i samowolna, nie umiała się nigdy nagiać do reguły i porządku, a wrodzony talent, pomimo całego blasku i wielkich zalet, miał pozostać na zawsze samouczkiem; nierówny w postępie, często on wykazuje wady i zdrożności, które porządnie prowadzona nauka łatwo-by potrafiła usunąć. Po bardzo krótkim pobycie w pracowniach malarzy: Hessego i Steubena powierzył się Courbet własnym zdolnościom i siłom i oddał się cały studjowaniu natury, według własnego, osobistego jej rozumienia. Taki sposób tłómaczenia na płótnie wielkich efektów przyrody, obok niedostatecznego zasobu środków praktycznych, stał się powodem, że pierwsze obrazy Courbeta wywoływały jakby zdziwienie i odrazę publiczności. Przyjęcie to nie zraziło wcale upornej natury Franc-Comtoisa, ale zmusiło go do lepszego studjowania formy, w którejby teoria jego mogła się okazać bez szwanku na widok publiczny.

Wkrótce wielkie zdolności malarza i uporna wytrwałość uczyniły go prawdziwym koryfeuszem tworzącej się wówczas szkoły realistów, pomimo wrzasku, jaki obudziły jego: *Pogrzeb w Ornans*, *Kamieniarze* (*Les Casseurs de pierre*), *Fanienki nad brzegów Sekwany*, *Kapiące się kobiety* i t. d. i t. d. Portrety, które nie były wcale jego specjalnością, stanowiły szczególnie przedmiot najgwałtowniejszej, a przynajmniej wypada, najsprawiedliwszej, krytyki. Portret sławnego publicysty i rodaka malarza Proudhona i jego rodziny, był może najdziwniejszą rzeczą jaką wydała szkoła realistów.

Znajdował się wtedy Courbet w pełni młodego wieku, a jego pracownia przy ul. *Hautefeuille* w Paryżu stała się pewnym rodzajem ciekawości, którą każdy pragnął zobaczyć, dzięki właśnie temu hałasowi, jakiego narobiły dzienniki i przyjaciele Courbet'a o jego talencie i o dziwnej oryginalności człowieka. Byłem i ja w liczbie ciekawych i pamiętam jak dziś, że cała oryginalność malarza zamykała się wówczas w dziwnie paradoxalnych sądach o sztuce i o jej największych mistrzach i w prowincjonalnem narzeczu, które z umysłu posuwał do największej przesady.

Mówiąc o malarstwie, zwykł był powtarzać z największym przekonaniem i na seryo, że przede wszystkim był on *Courbecista*, że nie opinia nim, ale on rządzi opinią, że obrazy Rafaela są to stare bohomyzy (*croûtes*), że Leonard da Vinci jest to spruchniały senator, Mozart fabrykant nudnych mirlitonów... i tym podobne dziwolagi, które roznoszono po świecie, podziwiając głębokość i oryginalność tych sądów. Jak to mają zwyczaj Francuzi, kiedy zaczną się dziwić jakiej nowj, choćby najgłupszej, rzeczy. Niesłychana zarozumiałość, próżności i prawie do waryacji posunięta miłość wła-

sna: te były główne i straszne wady człowieka i artysty—wady, które mu nie pozwoliły dojść do tego wyższego stanowiska, jakie niezaprzeczony jego talent malarski miał prawo zająć.

Proudhon, jego współrodak, obrońca i przyjaciel, najtrafniej opisał słabość i niedostatki grubej i zmysłowej organizacji Courbeta w znakomitej swej książce pod tytułem: *O zasadzie sztuki i o jej misji w społeczeństwie*. „Obdarzony,—powiada, mówiąc o Courbecie,—inteligencją pojętną i silną, ma on tyle rozumu, co każdy inny człowiek na świecie, a przecież pomimo to pozostał tylko malarzem, nie umiał ani mówić, ani pisać, a nauki klasyczne żadnego prawie śladu nie zostawiły w jego umyśle. Zbudowany jak olbrzym,—pióro ciąży mu w rękę jak sztaba żelaza w rękę dziecięcia. Chociaż wiele prawi o cięgu i następstwach rzeczy, sam jednak myśli dorywczo i urywkowym sposobem; ma on poczucia wyłącznie, mniej więcej prawdziwe, szczęśliwe niekiedy, ale najczęściej sofistyczne.— Stał się przytem chwaleą dumy i zarozumiałości, w czem się okazał prawdziwym artystą,—ale, artystą podrzędnym, gdyby albowiem obdarzony był delikatniejszym uczuciem, zrozumiałby estetycznie, jak wielką wartość posiada skromność — bo jeśli nawet czasem jest ona obłudą, nie jest przecież nią zawsze... Skromność, jestto rzecz najsubtelniejsza jakiej kosztować dano było człowiekowi—i ten, w kim sofizm potrafił zagładzić uczucie, staje się bydlęcim z człowieka“...

Coż można dodać jeszcze do tej potężnej dyalektyki przyjaciela Courbeta? Nic—chyba jeden charakterystyczny rys jego próżności, której naiwne objawy dochodziły często do dziecinnej prawie nieświadomości. Z powodu właśnie tej książki Proudhona, o której tu mowa, wyrwało się Courbetowi słówko, które maluje go najlepiej. „—Co myślisz, pytał go jeden z przyjaciół, o tem dziele Proudhona?—Jest to dobra, odpowiedział, książka, ale to zbyt długie, włożył on tam zanadto rzeczy; ja mu połowy tego nie powiedziałem w tym względzie... Niepodobna jest przypuścić nawet, aby on sam mógł wierzyć temu, co mówił; ale próżność i zarozumiałość jego były niezmiernie, — ani chwili nie bała się przypuścić, że jego wyższość nad innych była tak niezaprzeczoną i wielką, iż dosyć, aby to wyszło z ust jego, iżby było przyjętem za słowa Ewangelii. Inną razą wspomniano mu o jakimś niezmiernie dlań pochwalnym artykule jednego z lepszych pisarzy. „To najlepszy artykuł, jaki on napisał“—odpowiedział bez najmniejszego wahania się Courbet.

Obok tych moralnych zarysów artysty dajmy tu miejsce portretowi Courbeta, który w najświetniejszej epoce jego wziętości narysował z natury jeden z jego wielbicieli i najlepszych przyjaciół; chociaż pochlebiony trochę, podobny on jest i prawdziwy niezmiernie. „Był to—powiada Teofil Sylvestre—piękny i duży młodzieniec. Sliczne jego oblicze było jakby umyślnie wybrane i odlane z jakiejś assyryjskiej płaskorzeźby. Oczy jego czarne, świecące, lubieżnie rozcięte, przyćmione długim jedwabiem rzęsów, patrzyły spokojnie i tkliwie, jakby oczy antylopy; pod orlim i spuszczone nosem, ledwie zarastający wąsik, lekko się łączył z bródką rozciętą w wachlarz i odkrywał usta grube, zmysłowe, niepewnej formy, pomięte, oraz zęby chorobliwe i zepsute. Płec miał delikatną, gładką jak atlas, barwy ciemnej brunatno-oliwkowej, mieniającej się i nerwowej. Czaszka spiczasta, klerykalna i wystająca policzki—znamionowały egzaltację i upór“.

Ale od tego portretu, tak podobnego niegdyś, jakże daleko, niestety, do owego opasłego, zgarbionego, posiwiałego, ocięzającego człowieka, któregośmy widzieli kilka lat temu, wlokącego się do Kommissji wojennej, przed którą powołał go ów fakt Paryskiej komunii, który mu narzucił dzienne przezwisko „Odsrubowywacza“. — To wyrócenie artystyczne kolumny na placu Vendôme pomnika dółającego może najbliżej narodowej francuskiej żyłki, nie może być uważane inaczej chyba jako skutek prawdziwego pomieszania zmysłów, pod wpływem nadzwyczajnej zarozumiałości i pychy. Był to ostatni symptomat tego umysłowego zwichnięcia, który mu natchnął dawniej odrzucenie krzyża legii honorowej i sporządzenie na własną rękę szafasu naprzeciw pałacu wystawy 1867 roku, w którym urządził ekspozycję własnych

dzieł swoich, a w którym żywego ducha nie widziano nigdy (1).

Jednym słowem, jakkolwiek nie można odmówić artyście wielkich zdolności, wielkiego talentu, szczególnie codo technicznej zdolności władania pendzlem, jakkolwiek znakomite są dzieła, które Courbet zostawił po sobie,—powiedzieć jednak należy, iż dziełu temu zbywa na pełności. Najlepsze jego obrazy są te, gdzie wprawna i biegła ręka malarza, prowadzona jedynie samym zmysłem wzroku, tłómaczyła potężnie i silnie wrażenia martwej natury. Jako pejzażysta wielkiego pokroju—w lasach, nad wodą, wśród skał, Courbet pierwsze może zająć miejsce. Ale wobec żyjących stworzeń, wobec natury ludzkiej szczególnie—widzimy jak talent jego staje się zaraz niepewnym i chwiejnym. Niedostatek porządnej nauki wychodzi na wierzch; wielkiej biegłości pendzel nie może pokryć niedostatku wiedzy; bystre oko, zdaje się, traci swoją przenikliwość a znakomity malarz powietrzny wlesie lub nad morzem, tu staje się ciężkim i niepoprawnym, jakby najlichszy partacz z odpuštu. Jestto i pozostańcie niezwalczoną zaporą, która mu nie dozwoli zająć w nowożytnej szkole tego pierwszego miejsca, jakie jego zarozumiałość i duma naprzód zaznaczyły sobie. Zostanie on przecież jednym z najgodniejszych przedstawicieli szkoły francuskiej naszego czasu. Można o nim powiedzieć to, co nasz Niemcewicz mówi o kniaziu Iwanie Glińskim:

Tak zginął Gliński wyniosły i śmiały,
Gdyby nie pycha, godzin wiecznej chwały.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Pogodzeni z losem.—Komedia w 5 aktach, pana Edwarda Lubowskiego, przedstawiona poraz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości dnia 8 Lutego r. b.

W wielkiem mieście mieszka już od lat dziesięć p. Kazimierz Łanicki. Szukając tego szczęścia, które Dr Reich w swoim dziele, poświęconem rozbirowi istoty kobiecej, „*materyalizmem praktycznym*“ nazywa, p. Łanicki doszedł do bytu świętego, do nieczystego sumienia, do długów, które mu zupełną grozą ruiną — a obok tych wszystkich złych rzeczy do jednej dobrej: jest nią zaś zacna i piękna jego żona Marya, z którą żyje już od lat dwóch. Żyje, nie żyje, bo wspinanie się coraz wyżej, niszcząc całą konstytucję moralną człowieka, wyziębła mu i duszę i czyni go niezdolnym do uczuć. Łowiec szczęścia, zaniedbując dom swój, zaniedbuje i żonę, która coraz silniej samotność swą odczuwa, coraz jaśniej niedolę swą poznaje.

Przed chwilą, którą autor na początek sztuki swojej obrał Łanicki, zostający we współce z niekczym Czaickim, sekretarzem Księcia, osobistości bardzo nieokreślonej, ale bardzo wpływowej, — na okoł której roi się zgraja służalcza, w niej zaś i sam Kazimierz i jakiś baron Pryszniński i Slizgawski i Fiszbinowicz i Senzi, — popełnił był niegodziwość wielką: oszukał brata stryjecznego Jerzego, przesyłając mu sześćdziesiąt tysięcy za prawa do milionowego spadku. W pierwszym już akcie ten brat zjawia się na scenie, dzielny ziemianin-obywatel, własną ciężką pracą wydzwigający się z kłopotów materyalnych — postać, o jakiej tylko ideolog społeczny zamarzyć może. Pan Kazimierz dowiadyje się o jego przybyciu, z dreszczem trwogi, podejrzliwym bowiem, że krewny przyjechał upomnieć się o swe prawa. Ten jednak bynajmniej nie ma złych myśli, o żadnych prawach swoich nie wie i uważa się jeszcze za szczęśliwego, że bez pracy, za jakieś tam nieokreślone i zagadkowe pretensje, owe kilkadziesiąt tysięcy otrzymał. Sprowadziła go do Warszawy sprawa sąsiada, którego wyratować postanowił. Kazimierz odetchnął, ale na krótko. Czaicki, współnik niegodziwości, w nadziei

grubego zarobku, wyjawia Jerzemu całą prawdę, na ślad zaś wyznania tego wpada Kazimierz.

Rzecz oczywista, że zjawienie się tak szlachetnej postaci, jaką jest Jerzy, nie zostaje bez wpływu na otoczenie. Panna Leonia, siostra p. Kazimierzowej, niedawno ze wsi przybyła, panienka bardzo rozsądna, nawet rozumna, wykształcona i uczuciowa, oblegana przez głupią i zepsutą młodzież wielkiego miasta, szczerze przywiązana do siostry, i patrząca na jej nieszcześliwe pożycie, — poczuwszy sympatję dla Jerzego, poleca zacnemu jego sercu dołączyć Maryi. Staje na tem, że Jerzy, o ile to będzie w jego mocy, wpłynie na poprawę Kazimierza.

Tymczasem Kazimierz, niespokojny o to: czy Jerzy na drodze prawnej nie zechce oszustwa wykazać i o prawa swoje się upomnieć, postanowił klin klinem wybić i do jednej niegodziwości drugą — nie wiemy: mniejszą czy większą — ale chyba większą — dodaje. Książę, który jako kurator owego milionowego spadku, jednym podpisem swoim może wszystko naprawić lub wszystko zepsuć, jest wielbicielem niepoślednim wdzięków kobiecych. Kazimierz chce mu własną żonę — wstret to wymówić — chce własną żonę sprzedać. Na bliskim balu ma nastąpić ta ohydna *emptio-venditio*. Niegodziwiec nie ma jednak odwagi uprzędzić swej ofiary i czyni to dopiero w ostatniej chwili na samym balu. Marya wybuchła w łzy; natura jej miękka, uczuciowa, nie umie się zdobyć na gwałtowne odtrącenie niegodziwego męża, zostaje więc — i książę, zawiadomiony przez Kazimierza, wchodzi do pokoju, w którym świadkiem jej łez, za chwilę przedtem, był zakończony w niej — błażen raczej, niż człowiek, bywający w ich domu, — ów Dr Senzi, fagas książęcy. Oczywiście, przyjęcie, jakiego książę-kurator doznaje od cnotliwej, chociaż w dumie swej nieco mdle wyrażającej się kobiety, — prędko wybija z głowy posiadawcy już wielbicielowi wdzięków myśl wszelkiej awantury miłosnej. Odchodząc gniewny mówi do siebie: „Ten pan mnie niepotrzebnie zaawansował.“ a na zjawiającego się właśnie Kazimierza woła: „Pańskie miejsce tutaj“ — i wskazuje mu żonę łkającą.

Ostatnia zatem deska ratunku strzaskana: Jerzy zabierze spadek, a wierzycciele majątek, i świetnie żyjący pan oknie się naraz na bruku ulicznym, jako nędzarz. I w samej rzeczy bardzo blisko już tego było. Przez Czaickiego, który, okradłszy swego pana, sam uciekł, ale zostawił jakby umyślnie swój *pamiętniczek*, dowiedział się książę-kurator o całym oszustwie: ani wątpić, że jako *niepotrzebnie zaawansowany*, teraz nie zaniebda zgubić tego, który go tak niepotrzebnie *zaawansował*. Ale w stanowczej chwili zjawia się Jerzy; przedstawia księciu sprawę w świetle dla brata korzystnem, ratuje go majątkowo i akt własności spadku rzuca mu pod nogi niemal.

Oszust zatem i bankrut ocalony; ale grzesznik rozpoczął na pokutę. Pierwszy krok na tej drodze sam Kazimierz już był postawił. Rzuciwszy rewolwer, którym po otrzymaniu złych wiadomości, chciał sobie życie odebrać, padł na kolana i zaczął się modlić do zapomnianego Boga; przeproszał Go za zmarnowaną młodość i pogwałconą prawość ducha. Teraz Jerzy odsuwa go od majątku, którym go obdarzył i skazuje na wygnanie poprawcze. Kazimierz nie ma nawet odwagi pożegnać się z żoną — i idzie w świat. Jerzy zostaje i zapewne, ożeniwszy się z siostrą swą bratową, nad nią samą obejmie opiekę aż do czasu spełnienia się pokuty Kazimierza.

Taka jest osnowa wydarzenia w nowym dramacie pana Lubowskiego, który autor komedią nazwał. Jako żywo! nie komicznego w tych nowocześniejszych komediach, zwłaszcza naszych, niema. Począwszy od *Pozytywnych* Narzymskiego do *Pogodzonych z losem* Lubowskiego, wszystkie tak nazywane *komedye* są dramatami mniej lub więcej dramatycznie pisanymi; komedia, jak to już nieraz na tem miejscu zaznaczać mieliśmy sposobność, zesłała w nich prawdziwie tylko do roli błażna na dworze średniowiecznego książęcia: dwór i książę chodzą swoją drogą, błażen — swoją (1). Albo życie nasze,

(1) Wyjątek stanowi tu p. Błaziński, który, jak to raz już mieliśmy sposobność zaznaczyć, odrębne od innych, a najbardziej do rzeczywistego komedypisarstwa zbliżone, stanowisko zajmuje. (P. A.).

albo też autorowie nasi bardzo spoważniali—amoże i jedno i drugie. Tylko jest powaga i powaga: życie może być poważnym dlatego, że jest niewesołym; autorowie mogą być poważni, bo do wydobywania siebie prawdziwego zapału niezdolni.

Pogodzonych z losem niema w sztuce p. Lubowskiego. Są tylko nizekzemni słuźalcy: hyena zasadzona na ludzkość, Czaiński; głupiec starający się rozrywać smutek żony przez zapewnianie jej towarzysztwa młodych ludzi, Fiszbinowicz; zero realistyczne, Ślizgawski i zero idealistyczne, Dr Senzi; jest oszust i sprzedawca żony, Kazimierz Łanicki; jest Bassdorf, na jednym z niższych szczebli w hierarchii nizekzemności zostający. *Pogodzonych z losem* próżnobyśmy szukali. Psychiczny moment pędzenia się z losem nie istnieje wcale w sztuce, która też zupełnie niewłaściwie nazwaną się nam wydaje. Trafniejszą może byłaby nazwa: *Słuźalcy* lub *Nizekzemnicy*.

Z powyższej osnowy wydarzeniowej niedoskonałe się wykrystalizował sam dramat, który jest w pierwszych trzech aktach zamało zajmującym, w dwóch ostatnich, zwłaszcza w V-tym, grzeszy może nieprawdziwością psychologiczną. Za wiele miejsca w tych pięciu aktach zajmuje ekspozycja, zawiele rzeczy dodatkowe—a zamało rzecz główna. Ekspozycja przechodzi aż do aktu IV-go i taki Senzi, nienależący wcale do dramatu, na to tylko tam jest, aby jako przedmiot satyry komedypisarskiej wzrok widzów na siebie zwrócił. Autor niedostatecznie pilnował się praw jedności działania, jedynie, której ani Arystoteles usprawiedliwiać nie potrzebował, ani też nikt, póki ludzie dramata pisać będą, usunąć nie zdoła; jedność ta bowiem jest jak dusza w człowieku. Szlicznie-byśmy żyli, gdybyśmy po dwie dusze mieli! Coś podobnego dzieje się z dramatem, którego autor nie miał czy nie chciał wytworzyć jednego ogniska dla namiętności i postanowień, jednej osi obrotowej—dla ruchu charakterów.

Pewna metoda przedstawiania ujemnych typów ze społeczeństwa, użyta już w *Nietoperzach*, i tam, skutkiem błahości interesu iście dramatycznego, uprawniona, w *Pogodzonych z losem* szkodliwie objawić się musiała. Inaczej zupełnie patrzy się na okazy człowieczeństwa wplecione w działanie, a inaczej—na stojące po za niem i współzawodniczące mnogością swoją, jaskrawością i krzykliwością z właściwymi działaczami dramatu. Sądzymy, że sztuka wieleby zyskała przez przyprowadzenie owych luzaków do pewnej sforności i podporządkowanie ich pod główny temat. Wtedy też można by nadać dramatu właściwe rozmiary sztuki 3-aktowej—większą przytoczona wyżej osnowa być jej nie pozwala.

W dramacie przedmiotem właściwej akcji jest dopier owa *emptio-venditio* męzowska, oraz to, co Jerzy, dla odwołania jej skutków i zarazem uchronienia majątku i imienia swego brata, przedsięwzięrze. Wszystko inne albo się przed rozpoczęciem dramatu już spełniło, albo się dokonywa za sceną, albo też do dramatu nie należy, lub uboczne ma znaczenie. Ów brak jedności, a zbyt hojnie wpuszczenie na scenę typów wziętych z menażeryi ludzkiej szkodzi nietylko dramatomu, ale i charakterografii w sztuce. Ze względu na tę opisywość charakterów dla uważnego widza, który zdania swego według jednego przedstawienia nie normuje, *Pogodzeni z losem* przedstawiają postęp w stosunku do uznanych już w swych zaletach *Nietoperzy* i *Przesądów*. Taki Romcio Pryszniński, wielbiciel siły, gimnastyki i tusz wodnych, chłopak niezepsuty, tylko w złe towarzystwo wciągnięty i ograniczony, jest typem nowym, oryginalnym, a dobrze w sobie zaakraglony; niepotrzebnie tylko autor każe mu wykonywać na scenie „ćwiczenie odśrodkowe“: scena nie jest dla ćwiczeń podobnych. Fiszbinowicz odmienny od Żmijskiego z *Nietoperzy*, ale w podobnym stosunku do żony zostający, słuźalec wychylający duszkiem dwa kufle mleka, dla miłości księcia, dobrze się przedstawia. Czaiński wybornie skreślony. Jerzy i Marya mniej oryginalni, choć logicznie zwarci; za to Leonia odmienna od podobnych do niej dodatnich typów dziewcząt w innych komedjach, a ta odmiennosc wcale jej na pożytek wychodzi. Nawet książę-kurator w jednej tylko scenie występujący, dobrze oddany, — jeden rys wystarczył tu autorowi. Codo Kazimierza wre-

szcie, taki, jakiego widzimy w akcie V-tym, niemożliwym nam się wydaje. Człowiek, który przez takie występki jak on przeszedł, nie pada odrazu na kolana przed Bogiem. Grzech naszego sumienia jest zarazem zepsuciem naszej istoty. Traci się siłę żalu, gdy się oszukało krewnego, gdy się trzymało przez lata całe przymierze z łotrem i gdy się własną żonę wystawiło na sprzedaż. Niema dyalektyki, któraby nas przekonała, że Kazimierz, w całości swej wzięty, jest psychologicznie prawdziwym.

Dramat ma pojedyncze sceny piękne, dobrze wykończone, żywe. Dwa ostatnie akta sprawiają niemal wrażenie tragedji. Dyalog odznacza się pewnym wyższym nastrojem, który nam sztukę tę za najlepiej opracowany ze znanych utworów scenicznych autora uważać każe. Wiele jest dowcipu w tym dyalogu — dowcipu dalekiego od dwuznaczników, miejscami nawet delikatność wytwornej przędzy posiadającego. Styl zastosowany do charakterów, język poprawny.

Gdyby w *Pogodzonych z losem* nie występowała p. Mazurowska, mogliśmy sztukę tę nazwać sztukę dobrze wystawioną; ale panna Mazurowska psuła całość, którą znowu panna Derynżanka (Marya), pan Szymanowski (Romcio Pryszniński), p. Ostrowski (Fiszbinowicz), p. Tatarkiewicz (Jerzy) i sam nawet pan Leszczyński, postać główna—na wysokości rzeczywistego artyzmu scenicznego utrzymywali. Panna Derynżanka w nastroju dramatycznym, p. Szymanowski w nastroju komicznym — wnieśli się do doskonałości. Wymieniona tu artystka odegrała tak znakomicie rolę swą w IV akcie, że publiczność, nawet najwybrańsza, przerwała sztukę dla dania oklasków. Pan Rapacki uplastyczył wybornie typ nizekzemnika. Wogóle, dzięki prawdziwym artystom, jakich scena nasza posiada, sztuka szła dobrze. Ale raz jeszcze wracamy do panny Mazurowskiej — jak można jej było powierzać taką rolę? Ze swoim głosem odpychającym panna Mazurowska mało ról chyba zagraćby mogła; najmniej zaś nadawała się do roli powabnego a rozumnego dziewczęcia wiejskiego, jakim jest Marya. P. Borkowskiej (Fiszbinowiczowa) również zwrócić musimy uwagę, że niewszystkie piękne kobiety za jeden z objawów swej piękności uważają wolne cedzenie słów, przy którym czas potrzebny na wymówienie jednego wyrazu wystarczyłby mógł od biedy na przedrzymanie się.

Stanisław Krzemiński.

FRYDERYK SZOPEN

I NOWSZA KRYTYKA NIEMIECKA

przez

Jana Kleczyńskiego.

(Dokończenie).

Zatem i my spieszymy dalej, gdyż jesteście prawie u kresu. Wprawdzie sądzićby wypadało, że o baladach da się coś więcej powiedzieć, ale p. Schucht poświęca im zaledwie kilkanaście wierszy, nazywając je utworami pełnymi rycerskiej dzikości, jakby opowiadaniem z epoki *Sobieskiego*. Ten „Sobieski“ jest może i całą spuścizną, jaka wzbogaciła umysł szanownego autora pod względem znajomości historyi sąsiedniego niegdys państwa; przypomina on tę tradycyjną „Lodoiskę“, która w dramatach francuzkich charakteryzowała żywiol „słowiański!“—Kończy pan Schucht banalną uwagę, że „Ballady“ mogłyby być bardziej „znane“ niż są.

Za to *Berceuse*, Preludya i Scherza znajdują w panu S. zachwyconego sprawozdawcę — w ostatnich dziełach jednak widzi ze zgrozą harmonie zbyt śmiałe (przytacza ostatnie dwie stronice scherza *B moll*), „których ani Beethoven, ani Spohr, ani Schumann użyć się nie odważyli“.—Sonaty, pieśni i dzieła pośmiertne tworzą zakończenie sprawozdania, i nie będziemy już się zbytecznie spierali z autorem o ich wartość—pilno nam kilkoma ogólniej-

szemi rysami określić znaczenie wspomnianego artykułu, oraz powrócić raz jeszcze do kwestji tylokrotnie w ciągu artykułu podnoszonej, o znaczeniu charakteru narodowości w sztuce.

Jeżeli tedy pozwoliłem sobie cokolwiek dłużej zatrzymać uwagę czytelnika nad nowo ogłoszoną pracą pana Schuchta, mimo jej niedokładności, to dlatego właśnie, że bądźco bądź, posiada autor w duszy iskrę poetycznego zapału, posiada dobrą wolę, i jeżeli przy dzisiejszym stanie pojęć o sztuce niezupełnie jeszcze ocenia naszego muzyka, to w każdym razie pod wieloma względami go rozumie i ducha jego dzieł odczuwa. Od czasu recenzji Schumanna, pisanych za życia Szopena, od czasu książki Liszta wydanej w r. 1852, żaden głos niemiecki, o ile mi przynajmniej w tej chwili wiadomo, nie odezwał się w podobny, cokolwiek bardziej wyczerpujący, sposób o Szopenie,—nie przedsięwziął nad jego utworami tak sumiennego studjum; przeciwnie, byli i są tacy, którzy go jeszcze i dziś niedostatecznie oceniają. Z niemieckich fortepianistów, podobno jeden Bülow, i to w ostatnich czasach, wznosił się do tak pięknej egzekucji Szopena—Tausig, choć u nas z matki Polki zrodzony i wychowany, chociaż całe koncerty poświęcał nieraz wyłącznie kompozytorem Szopena (Chopin, *Soirée'n*), był zanadto *wirtuozem*, aby go tak jak potrzeba szanował; najczęściej tempo, akcent, charakter musiały ustępować miejsca potrzebie popisania się z jakimś precudnym szczegółem jego bajecznej techniki. Któryż dziś z wirtuozów niemieckich potrafi w *Warszawie* z prawdziwym powodzeniem grać jego niektóre nokturny (np. *C moll*)—jego ballady (np. *G moll*), a szczególnie mazureki lub polonezy (sam Bülow grał przecież za prędko i bez powagi sławnego poloneza *as dur?*) — Wido-cznie jest jakaś ogólniejsza przyczyna tego niezaprzeczonego faktu, wobec którego godzi się przeciwstawić tę okoliczność, że jednakże słowiańscy wirtuozowie tylokrotnie wśród Niemców z uznaniem wykonywali utwory ich szkoły.

Fakta te mogą mieć źródło wprawdzie w tej okoliczności, że narody słowiańskie większą mają od Germanów zdolność *mówienia językami obcymi*, że zresztą dzieła sztuki niemieckiej dłużej już królują na świecie—lecz z drugiej strony, oprócz mniejszego być może *uzdolnienia* ze strony Niemców do mówienia *naszym językiem*, istnieje niezaprzeczenie u nich jakieś uprzedzenie wogóle do słowiańskich pierwiastków sztuki, uprzedzenie oparte w części na racjonalnych podstawach, w części zaś na zdaniach, powtarzanych trochę *in verba magistri*, za za Schumannem i innemi.

Przedewszystkiem zarzut, że dzieła Szopena są swojskie, że mają wybitny i odrębny charakter, jako zarzut *ogólny*, nie wydaje mi się uzasadnionym. Zapewne, że z szerszego punktu widzenia, uczucie ogólnoludzkie tak w filozofii jak w sztuce, powinno górować nad uczuciem drobniejszym, miejscowym; lecz z drugiej strony, ponieważ każdy człowiek przedewszystkiem jest sobą, to jest istotą zrodzoną i wychowaną wśród pewnych stosunków rodzinno-społecznych, bez których nie mógłby być czem jest—tak i w sztuce (jak to już zresztą nieraz pisałem) nie znam artysty (wyjąwszy może Meyerbeera), któryby nie objawiał wybitnie w swych dziełach narodowości, do której należy. Najszczytniejszy z muzyków, *Beethoven*, jest tak nawskroś Niemcem, że ktoby nie znał wcale współczesnej historyi, a był dość wykształconym i dość głębokim muzykiem, aby się wczytać w ducha, co wieje z dzieł jego, — niezawodnie odgadłby całe współczesne Niemcy z ich filozoficznym nastrojem, z ich „światową tęsknicą“ (*Weltschmerz*), z ich miłością dla ludzkości (*Schiller*). Ktokolwiek zna Włochów lub Włochy z ich usposobieniem żywym, pełnym ruchu, giestów, obrazowości — czyż odrazu nie pozna, że Rossini jest nawskroś Włochem? Przykłady mogliśmy mnożyć bez liku — i doszlibyśmy oczywiście do tego przekonania, że nikt inny tylko Niemiec mógł dojść do takich błędów w praktyce w skutek stosowania zuchwałego teoryi, do jakich dochodzi Wagner w *Zygfrydzie* i *Zmierzchu Bogów*.

Zarzut więc *narodowości* w sztuce, jako zarzut *ogólny*, upada wobec powszechnego faktu, iż wszyscy wiecej mistrzowie, Weber, Mendelssohn, Auber,

Bellini—tym samym grzechem grzeszyli.—Pozostaje zarzut rozebrać w *szczegółach*.

Zarzuty Schumanna są pod tym względem nie dość jasno scharakteryzowane. Oprócz wyrażenia: „zu polnisch“ przytoczonego wyżej, oprócz tu i ówdzie rozsianych uwag, że „powinienby sarmatyzmi ustąpić kosmopolityzmowi“ większość zarzutów Schumanna da się sprowadzić do tej okoliczności, że Szopen nie pisał na orkiestrę, że wogóle z postępem czasu nie stwarzał dzieł coraz to większym rozmiarem, że się zanadto rozproszył, roztkliwił. Pan Schucht usiłuje sobie jaśniej zdać sprawę z otrzymanych wrażeń. Najważniejszy zarzut szczegółowy robi on, że zbyt często u Szopena (i u ludów Słowiańskich) tonacje są *minorowe*, co dowodzi pewnej słabości, słowem przewagi pierwiastków *negatywnych*. Zarzut ten przyjmujemy istotnie, sądząc mistrza z całej jego działalności artystycznej, widzimy przed sobą obraz zbyt jakoś sławy. Ile w tym symptomacie było ogólnosłowiańskiej rzewności, ile tęsknoty z swoimi, ile pod koniec jego życia rozboleńa fizyczno-moralnego — trudno zbadać — fakt codo Szopena pozostanie prawdziwym i może być pozostawiony nawet jako zarzut. Lecz ponieważ właśnie tu zachodzą tak różnorodne przyczyny, jedna drugą trochę wyłącza i nie można powiedzieć, aby sztuka słowiańska czy polska przynosiła z sobą na świat tak straszliwy procent pierwiastku elegijnego. Świadczy przeciw temu choćby rozwój teraźniejszego malarstwa, w którym przy rodzinnych pierwiastkach, nie widzimy przecież zbyt czułości. Nastroj zaś elegijny, czasem desperacki, nietylko u Szopena się znajduje. Jest on niejako ogólną cechą — nie śmiem powiedzieć, chorobą — całego stulecia. Dał mu początek Byron, a rozkrzewili go jednocześnie w wysokim stopniu niemieccy poeci, jak; Szyller, Goethe w *Wertherze*, Bürger w *balladach* etc. Sam pan Schucht przy końcu swojej rozprawki, przyrównywa dzieła Szopena do pism niemieckiego właśnie poety Lenau'a, który świat cały widział w czarnych kolorach.

„Nadzieje Schumanna, mówi on, że późniejsze dzieła Sz. postradają swój zbyt specyficzno-sarmacki charakter, aby wznieść się do wyrażenia ogólnoludzkiego dążeń i pragnień, nie spełniły się niestety.

„...Gdyby był posiadał silniejsze zdrowie; znajdował się w innych okolicznościach, możeby się była ta nadzieja ziściła. Tymczasem dzieła jego stały się wyrazem jego ponurych myśli, gdyż „życie mu było cierpieniem — a cierpienie życiem!“ Podobnie jak Lenau widzi on całą uaturę w żalobnej szacie. U nich obu płaczą obłoki, jęczą przestworza i w ich grobie tylko jest spokój... Ale nietylko swoje osobiste cierpienia wypowiadają oni w słowach i dźwiękach, znajduje u nich echo i ten ból ogólny (Weltschmerz!) który wówczas tyle dusz przenikał“.

Wyznanie to popiera nasze twierdzenie. Nareszcie nietylko na obronę ile na usprawiedliwienie tonacji *minorowej*, oraz dyssonansów Szopenowskich powiemy, że obie te cechy stały się niejako niezbędnymi, od kiedy sztuka weszła na nowe tory, od kiedy zaczęła dramatyzować namiętności ludzkie. Podczas gdy u Mozarta i Haydna mamy przewagę tonacji *majorowych*, a nawet najprostszych (*C dur*, *G dur* etc.), już u Beethovena spotykamy większą nierównie liczbę dzieł *minorowych*, tonacji bardziej skomplikowanych (*Fis dur*, *As moll* etc.), a współczesny Szopenowi Schumann, grzeszy niezawodnie przesadą dyssonansów i pewnem przeładowaniem szczegółów, pochodzącem z nerwowo-elegijnego nastroju.

Zarzuty *dzikości*, jako nieusprawiedliwione dowodzeniem, pomijam; ileż-to takich *dzikości* można napotkać w niemieckich mistrzach! Codo budowy myśli muzycznej, którą pan Schucht nazywa tak niepodobną do niemieckiej — żałujemy, że nie poparł tego dowodzenia większą liczbą przykładów (głównie przytacza Rondo op. 16, oraz temat: „już miesiąc zeszedł“), — sądę, że wówczas mógłbym również przykładami wykazać, że i w innych mistrzach (np. w Schubercie) oryginalny i często z początku niby rażący ustrój się spotyka; lecz gdyby nawet i tak było, nie byłoby to dowodem ujemnym; wszak co wybitnie oryginalne, wydaje się z początku niejednemu dzikiem, gdy tymczasem już następna generacja lubuje się tem i zachwyca.

Otóż, opuszczając dalsze szczegóły i powracając znów do ogólniejszego założenia, powiem otwarcie, że może mi i cieszą niektóre z tych zarzutów i że wolę się wstrzymać od oczyszczania z nich Szopena i naszej sztuki. Przeciwnie, chętnie przyznam, że sztuka nasza ma swoje odrębne właściwości, a mianowicie:

1) Ma *teskność*, (w czem zresztą, jak się okazało, nie jest wyłączną), a raczej ma pewien odcień wyłącznie tylko jej właściwy, tym zaś jest *rzewność* (Moniuszko).

2) Ma prostotę—to jest unikanie niepotrzebnego patosu — a natomiast szukanie naturalności i prostoty.

3) *Ma humor*, którego niestety, niedość widział w Szopenie nasz autor, jakkolwiek natrafiał na jego cudowne objawy w polonezie *Es dur*, w tylu mazurkach, etc. etc.

4) Ma siłę w razie potrzeby (o czem świadczą ballady i polonezy np.).

5) Ma nareszcie wielką skłonność do bogactwa formy, do wykintności, na co nietylko u Szopena tysiączne mamy przykłady, ale o tem świadczą nawet charakterystyczne rytmy poloneza, mazura i krakowiaka, pełne elegancyi i werwy.

Pierwiastki te, niezaprzeczenie *dobrze*, są, zdaje mi się, dostateczną odpowiedzią na zarzuty cudzoziemców i stanowią niejako dowód, że ta sztuka ma przed sobą przyszłość świetną; co się zaś tyczy zarzutów, jakie możnaby uczynić Szopenowi, nie są one bynajmniej w znaczeniu estetycznym ważniejsze od tych, jakie możnaby czynić innym poetom, jak: Lenau'owi, Byronowi, Schumannowi etc. (1) i nie przeszkadzą mu bynajmniej zająć miejsca między najpierwszymi mistrzami. Beethoven, gdy mu dokuczali krytycy, wyrzekł raz: „a przecież należnego mi miejsca w historii sztuki mi odmówić nie mogą!“ Szopen w podobnym-że instynktownem przesvědzeniu o swej wartości, napisał z Paryża do Elsnera w r. 1831: „nie zdoła on (Kalkbrenner) zatrzeć zbyt śmiałej może, ale szlachetnej chęci i myśli: *utworzenia sobie nowego świata*“. To, co Schumann raz wyrzekł: „*Chopin ist und bleibt der kühnste und stolzeste Dichtergeist der Zeit*“ pozostanie na zawsze prawdą. Tenże sam Schumann porównywał żartobliwie krytyków nie oceniających sprawiedliwie dzieł Szopena do *Księcia Modeny*, który w owym czasie „nie raczył uznać Ludwika Filipa królem!“ Toż samo i my powiódzmy o takich krytykach, jak autor artykułu w słowniku encyklopedycznym Mendla — zaś panu Schuchtowi, lubo niezupełnie jeszcze według nas, do gruntu przeniknął Szopena, nie odmawiajmy uznania za szlachetną chęci, za poetyczny pogląd, za sumienność, z jaką podjął swoją pracę, aby współczesnych zapoznać z poetycznym duchem dzieł naszego mistrza.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Świat roślinny w południowej Afryce

przez Dr Ant. Rehmana.

(Dalszy ciąg).

Ale zarosty takie są zarazem ulubioną kryjówką szakalów i hyen czyhających na zdobycz, a chociaż spotkanie się z nimi oko w oko nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, to jednakowoż dzikie ich jęki i szczekania zębami jak również i widok porzuconych w zaroście zbiełałych kości sprawiają zawsze nieprzyjemne wrażenie na podróżniku.

Pustynia Karroo nie była nigdy zamieszkałą przez ludzi, jak sama już nazwa przekonywa; została ona wzięta z języka Hottentotów i oznacza okolicę nieurodzajną i do niczego nieprzydatną. Dopiero gdy na północy kolonizacya zaczęła się szerzyć, a odkrycie kopalni dyamentów w kraju Grykwa

(1) O Wagnerze to można z pewnością powiedzieć, iż jego utwory są „zu deutsch!“ (Frzyp. Aut.).

ściągnęło w tamte strony kilkadziesiąt tysięcy ludzi pomysłano o utworzeniu stałej komunikacji i wytknięto drogę przez pustynię w miejscu, gdzie rozmiary jej są najmniejsze. Zwyczajna przeprawa za pomocą mułów zabiera ośm dni czasu, ale dobre konie z lekkim wózkiem mogą odbyć tę drogę w pięciu dniach. Ponieważ podróż koniami i mułami jest bardzo kosztowną, bo ceny ziarna są nadzwyczaj wygórowane, przeto ubożsi koloniści puszcza się niekiedy i wołmi. Przebycie pustyni dla zwierząt zdrowych, szczególnie po dłuższym wypoczynku jest łatwiejszem, chociaż cierpią one zawsze okropnie od upału i braku zdrowej wody; ale zwierzęta wracające z głębi kraju, znużone i wyniszczone trudami ośmiotygodniowej podróży, są w powrocie narażone na rzeczywiste niebezpieczeństwo; wielka ich liczba ginie po drodze, a szlak prowadzący przez pustynię jest zasiany wybladłemi szkieletami biednych mułów, koni i wołów.

Pustynia Karroo zajmuje znaczne obszary kraju w zachodniej stronie południowej Afryki i wrzyna się wydłużonym klinem ku wschodowi, nie dochodząc jednakowoż do przeciwległych brzegów tej części ziemi. Od strony północnej zamyka ją pasmo gór znanych pod nazwą *Nuweveld Mountains*. Wierchołki tych gór, poucinane równo jak pod sznur, dochodzą gdzieś do 7,000 stóp wysokości. Kraina na północ od tych gór położona jest również wyższą, ale daleko znacznie wzniesioną od pustyni Karroo. Holendrzy nazywają tę okolicę *Roggeveld*, co znaczy puste, nieurodzajne pole. Jestto w rzeczywistości także pustynia, chociaż nie sprawia tak przykrego wrażenia jak Karroo. Przedewszystkiem stosunki klimatyczne ulegają tutaj ważnej zmianie, bo zima jest suchą a lato — porą deszczów. Pod koniec miesiąca Grudnia ukazują się pierwsze chmury na niebie i deszcze zaczynają padać; chmury nie zakrywają nigdy całego nieba, lecz wytwarzają się pojedynczo i wiszą nieruchomie na niebie lub zlekka się przesuwają, a chociaż dzień bez chmur bardzo rzadko w lecie się przytrafia, to pomimo tego deszcze nie padają codziennie i są nadzwyczaj zlokalizowane. Występują one zwykle w postaci gwałtownej ulewy z grzmotami i piorunami, a niekiedy i z wielkim gradem; ale podczas gdy jedna miejscowość zostaje zalana wodą, w najbliższem sąsiedztwie ani jedna kropla wody nie spadnie i zdarzają się przypadki, że całe lato przemienie i mokra pora się skończy, a stęsknieni mieszkańcy jakiejs miejscowości ani jednego deszczu się nie doczekają. W porównaniu z bezludnem Karroo okolice te są dobrze zaludnione, chociaż średnie obliczenia wykazały, że tutaj jeden tylko człowiek mieszka na jednej mili angielskiej. Mieszkańcy uprawiają ziemię, jeżeli zdołają zaprowadzić sztuczne nawadnianie; ale głównem ich bogactwem są owce. Ażebym otrzymać potrzebny zasób wody dla siebie i dla zwierząt, biją po zagłębieniach groble i wyglądają z upragnieniem deszczu, któryby zaopatrzył całoroczne ich potrzeby. Jeżeli lato przemienie a nadzieja deszczu zawiedzie, nie pozostaje nic innego do czynienia jeno porzucić niewdzięczną głębę i szukać z całym dobytkiem przytułku u szczęśliwszych sąsiadów.

Roggeveld jest również okolicą bezdrzewną, nawet akacje nie udają się tutaj, bo kraj wysoko położony pokrywa się w porze zimowej zronem, którego nie znosi to delikatne drzewo i dlatego też okolice tutejsze wyglądają w porze suchej nadzwyczaj pęsepnie. Ale w lecie zato, po pierwszym zaraz deszczu, gleba pokrywa się na kilka tygodni żywą zielonością, a wpośród rozrzuconych kosmyków ubogiej trawki rozwijają się wspaniałe kwiaty *Amaryllisów* i innych roślin cebulkowatych, znanych nam już z przyładka Dobrej Nadziei. Utwory roślinne, jakie napotykałimy w pustyni Karroo, nikną tutaj częściowo. Nikną przedewszystkiem owe bezlistne *Euforbie* i kolczate krzewy *Mesembryanthemów*, pozostają tylko niektóre tłośnosze i kupią się przeważnie około pagórków skalistych; ale w zamian za to zwiększa się liczba traw, a w porze letniej ukazują się po płaszczyznach kilka gatunków roślin dyniowatych o wydłużonych płożących się łodygach, wielkich liściach, żółtych kwiatach i kulistych gorzkich owocach, których nasiona służą jednak za pożywienie dla ptaków i mniejszych zwierząt. Ukazują się również obficie drobniutkie drzewinki z rodziny główkowskich

o żółtych kwiatkach i niepozornych, żywicznych listeczkach i pokrywają gdzieś znaczne obszary ziemi. Zdaje się, że żywiczne własności tych krzewinek czynią je nieprzystannymi na karm, bo nie jedzą ich ani zwierzęta swojskie, ani dzikie, a pomimo to krzewinki te są uważane za wielkie dobrodziejstwo przez ludzi, bo dostarczają doskonałego paliwa. Koloniści tutejsi używają wszędzie na opał wysuszonego nawozu bydłowego, ale farmów jest mało, a podróży przebywa nieraz ogromne obszary nienapotykaną gdzieś śladów ludzi i nie powinien liczyć na niczyją pomoc. Dla tego wybiera na popas zazwyczaj takie miejscowości, gdzie gleba jest pokryta wzmiankowanymi powyżej krzewinkami a przezorność radzi zabrać spory ich zapas w drogę.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Panna Tomaszewiczówna z Łomży, o której studjowaniu medycyny na uniwersytecie Zurychskim, pismo nasze donosiło, otrzymawszy stopień doktora medycyny i chirurgii, wróciła do kraju i zapisała się na członka Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego, lecz przy głosowaniu, które otwiera dopiero wstęp do Towarzystwa, nie otrzymała dostatecznej liczby głosów przychylnych. Na trzydziestu głosujących, dziewiętnastu dało je tylko, nie stanowiło to przecież potrzebnej większości.

Rząd francuzki zamówił u Sary Bernhard, aktorki, a zarazem utalentowanej rzeźbiarki, popiersie Felicyana Davida, przeznaczone dla Muzeum Wersalskiego.

We Florencji zawiązało się stowarzyszenie pomocy dla mniej zamożnych, a wyższej nauki pragnących kobiet. Aby otrzymać pomoc stowarzyszenia, potrzeba przecież przebyć egzamin, dający pewne świadectwo tak rzeczywistych chęci, jak i zdolności umysłowych kandydatki.

Szkoła sztuk dla kobiet w Rzymie na Via degli Artisti, pod Nr 38, urządzona kosztem i staraniem angielskich amerykańskich kobiet, została już otwartą w warunkach, o jakich *Kronika* nasza doniosła poprzednio; przetożoną jest miss Augusta Marayat. Stół i pomieszkane w zakładzie przy zajmowaniu osobnego pokoju, wynosi dziennie siedm franków; pokój wspólny z drugą towarzyszką, czyni utrzymanie tańszem o franka dziennie. Pracownia, nauka pobierana od profesora akademii Św. Łukasza, Cammerano, i pomoce naukowe kosztują szesnaście franków miesięcznie, co jest niezmiernie tanio, a jeżeli uczennica zapisuje się na cały rok szkolny, to jest na ośm miesięcy, opłata ta, jak również koszt utrzymania w zakładzie obniżają się jeszcze. Odczyty w przedmiotach sztuki wchodzi w program szkoły, która jeszcze nie jest zapełnioną. Niewiadomo czy tylko uczennice z narodowości fundatorek mają otwarte tu dla siebie miejsce, sądzić przecież trzeba, że wyłączenie taka nie będzie przestrzegana, szkoła bowiem wzniesiona z darów składkowych, musi następnie utrzymywać się własną siłą, potrzebuje zatem odpowiedniej liczby uczennic. Rzeczą jest naturalną, że osoba zgłaszająca się, potrzebuje nieodzownie przedstawić świadectwa, poręczające jej przeszłość. Przez czas upałów letnich, gdy Rzym się wyludnia, uczennice będą przejeżdżać do Sieny, Perugii i innych miejscowości.

W Londynie weszło w życie bardzo szlachetne i bardzo w każdym wielkim mieście potrzebne stowarzyszenie opieki nad młodemi sługami: *The Metropolitan Association for Befriending Young Servants* (Stożeczne stowarzyszenie przyjacielskiego czuwania nad młodemi sługami). Pewna liczba kobiet dobrej woli zawiązała je między sobą, powodowana

początkowo myślą opiekowania się wyłącznie dziewczętami, które ze skończeniem lat 16 wychodzą ze szkół przytulku dla sierot i tym podobnych zakładów dobroczynnych i idą w służbę. Ze znalezieniem im tej służby kończyła się dobroczynna opieka społeczeństwa nad młodemi istotami, dziećmi prawie, niemającymi rodziny i oddanymi ztąd na łaskę i niefasę losu wśród różnych ludzi wielkiego miasta, różnych pań, na jakie trafić mogły. Dziś szlachetna opiekunka odwiedza dziewczę w miejscu jej obowiązku, i ztąd zdolna jest poznać warunki bytu, jakie ten obowiązek jej wytwarza, a odwiedziny te nie mogą być przykre dla gospodyni domu, jeżeli tylko jest to dobra i rozumna osoba. Przeciwnie, taka opiekunka sługi stanowi dla pani pomoc w kierowaniu i wdrażaniu do pracy dziewczyny młodej i niezupełnie jeszcze do pewnych konieczności położenia swego przywykłej. Jeżeli przez brak właściwego uzdolnienia, słabość, lub tem podobne okoliczności, dziewczę musi służbę porzucić, opiekunka umieszcza ją w zakładzie na ten cel wzniesionym, gdzie za opłatą 4 szylingów na tydzień, wnoszoną przez towarzystwo, pozostaje aż do chwili, w której wchodzi do nowej służby. Dom ten towarzystwa, istniejący na Hammersmith, stanowi poniekąd kantor młodych służących, gdzie panie chętnie się zgłaszają, wiedząc, że otrzymane tam objaśnienia rzetelne są i uczciwie dawane. Towarzystwo potrzebuje przecież innego jeszcze zakładu dla dziewcząt, które z powodu przewinień poważniejszej natury, potrzebują przejść przez pewną karnosć poprawczą, zanim wrócić znów mogą do pracy i zostaje przypuszczonem do domowego ogniska rodzin. Osoby, towarzystwo składające, rozumieją tę potrzebę i zajmują się właśnie zgromadzeniem środków w celu zadosyć uczynienia jej, zanim to przecież nastąpi. działanie stowarzyszonych pań — w liczbie sto dwudziestu — wywiera swój wpływ zbawienny na czterysta blisko dziewcząt; czuwa nad ich losem i zdaje o nich raporta komitetowi głównemu, który pragnie przecież liczbę stowarzyszonych o wiele rozszerzyć, coby pozwałało zarazem na rozszerzenie dobroczynnej i ze wszech miar pożytecznej, prawdziwą miłością bliźniego nacechowanej działalności. I tak już stowarzyszenie nie ogranicza się obecnie na wyłącznym czuwaniu nad sierotami, wychodzącymi ze *szkół ubogich* (pauper-schools), lecz rozciąga opiekę swoją do wszystkich młodych służących, chcących się garnąć pod jego skrzydła. W skutek tego, stowarzyszenie urządziło w pięciu dzielnicach Londynu pięć kantorów strzeżeń młodych służących, gdzie każde dziewczę, skończonych lat trzynastu, może się zapisać bezpłatnie, i gdzie dają mu nie tylko możność znalezienia dobrej, w uczciwych państwa służby, ale w razie rzeczywistej tego potrzeby, przez agentów stowarzyszenia stwierdzonej, zaopatruje na początek w porządne suknie, następnie zaś w czasie przypadkowe pozostawanie bez służby, daje miejsce przyzwoitego pobytu, w chorobie zapomoga i pomoc lekarską. Centralny komitet stowarzyszenia mieści w swym łonie hrabini Ducie, lady Russel, lady Wolverton, lady Hatherley, biskupa Londynu, dziekana Westminsteru, dziekana od S-go Pawła. Komitety działające, to jest zajmujące się bezpośrednio opieką nad dziewczętami, liczą w składzie swoim wiele pań najwyższego towarzystwa, których długą listę podają pisma angielskie. Dla nas nazwy tych nieznanych, więc nie nie przedstawiających osobistości, są obojętne; nieobojętną rzeczą jest wiadomość o ich zacnej działalności i ludzkim poczuciu się do obowiązków opieki nad tymi, których los ciężki i trudna praca na kawałek chleba wcześniej a samotnie w świat wypędza. Czyż i u nas podobne stowarzyszenie wytworzyłoby się nie mogło, stowarzyszenie tak z natury swej mało kosztowne, tak niewielkimi środkami niewypowiedzianie wiele dobrego świadczyć mogące?

Lekarskie pismo angielskie *Lancet*, podało w numerze swym z 18 Sierpnia zeszłego roku wiadomość o założeniu *stowarzyszonych pralni sanitarnych* (Sanitary Laundries Company), pod przewodnictwem osoby godnej zaufania, Mrs Lancaster. Pralnie takie, w których wszelka bielizna prana bywa jeżeli nie razem, jak jest najczęściej, to przynajmniej w jednych i tych samych stawkach, roznoszą po mieście zaraźliwe choroby, jak gorączki tyfoidalne, szkarlatynę, ospę i t. d. *Lancet* wystąpił niegdyś z przestroga przeciw tak niebezpiecznemu dla zdrowia publicznego postępowaniu i wskutek tego zawiązało się stowarzyszenie dbałe na wszelkie względy, jakie przy przyjmowaniu bielizny rozmaitej zachowywane być powinny i urządzone odpowiednio, z oddzielnymi izbami dla dezynfekcji bielizny podejranej, z umiejętnym używaniem środków chemicznych przy praniu takowej, a to tak, aby działanie ich było rzeczywiście skutecznem, przeciw bielizny nieniszczącym. Dostateczne obszerne i przewiewne miejsce pomieszczenia nadsyłanej do prania bielizny bez zwalania jej razem w wielkich stosach, ważne też ma tu znaczenie. *Pralnie sanitarne* mają być zaprowadzone po wszystkich dzielnicach Londynu.

Pisma niemieckie donoszą o istniejącej w Lipsku *Szkole kucharek*, złączonej z *restauracją dla kobiet*, a założonej na wzór zakładu wzniesionego w Berlinie przez stowarzyszenie zwane: *Lette-Verein*. Lipska szkoła czas nauki oznacza na sześć miesięcy; każda zgłaszająca się uczennica zostaje bez żadnych wyróżnień przyjęta, jeżeli tylko miejsce jest wolne. Sześć dziewcząt, czy kobiet, jednocześnie uczyć się może; obowiązkiem ich jest stawiać się w zakładzie o ósmej godzinie rano i podejmować za rozkazem zarządzającej wszelką wskazaną sobie robotę, a to nie tylko samego gotowania, bez potrzebnego przyrządzenia przedmiotów, jak: obieranie jarzyn, oporzędzenie mięs, sprawianie ryb, a następnie nakrywanie i służenie do stołu, mycie naczyń. Za cenę tej sześciomiesięcznej roboty dostaje się uczennicy nauka, a choć może czas tej nauki nie jest jeszcze dostatecznym, aby stać się już mogła doskonałą kucharką, niemniej nauczyła się już tyle, że służbę u gospodarnej pani śmiało przyjąć może, nie narażając jej na zawód, a siebie na przykre jego następstwa. Przytem nabywają tu uczennice dobrego nawyknięcia do porządku i drugostronnie uczą się przyzwoitego służenia przy stole.

Restauracja bierze za porcję mięsa z jarzyną lub legumine, albo talerz zupy z mięsem, od 30 do 50 fenigów. Od 12 do drugiej godziny dwa duże stoły w dwóch obszernych pokojach zostają czyste, przyzwoicie nakryte i mniej więcej 40 do 50 kobiet zasiada do nich, a towarzystwo składa się przeważnie z osób zajętych w przemyśle, nauczycielek, często nawet stołują się tu kobiety mające dom własny, lecz nie chcące utrzymywać w nim kuchni. Szalonych, lekkomyślnych kobiet nigdy tu nie bywa, bo takich nie tu pociągać nie może. Z początkiem zimy utworzono tu i wieczorne przekąski, kawę, herbatę, lub domowym niemieckim obyczajem zgotowaną zupę, co wszystko wypada nieco taniej niż gdzieindziej i zawsze tylko w kobiecem — wyłącznie kobiecem towarzystwie spożytem bywa.

Zakład ten powstał siłami stowarzyszonych; stowarzyszenie opłaciło komorne lokalu, dało na opał i wynagrodzenie stałej sługi zakładu. Zarządzająca jest jedna z pań stowarzyszonych; wdowa, mająca obok siebie córkę do pomocy. Nie liczy on jeszcze całego roku istnienia, stowarzyszenie zapewniło mu na trzy lata wymienione wyżej pomoce; po tym czasie musi stanąć o własnej sile i tak gospodarstwo swe prowadzić, aby dochody pokrywały koszt. Komitet stowarzyszenia zbiera się co tydzień i rachunki przegląda.

TREŚĆ. Dwaj anieli, poezja, przez Tomasza Zawadyńskiego. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Wspomnienie o Grotgerze. — Nowiny paryskie. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Fryderyk Szopen i nowsza krytyka niemiecka, (dokończenie), przez Jana Kleczyńskiego. — Z działu przyrody, (dalszy ciąg), przez Dr Ant. Rehmana. — Kronika działalności kobiecej.